

Sokół w klatce

2 maja 2017

Mimo, że Zachód bardzo liczy na większe zaangażowanie Jordanii w konflikt syryjski i iracki, jej mały król musi powściągnąć swe ambicje.

Patrząc z boku mogło wyglądać na to, że król Abdullah stracił orientację: w jednym tygodniu pojechał do Moskwy, aby rozmawiać z prezydentem Putinem jak ustabilizować sytuację w Syrii przy zachowaniu władzy Baszara al-Assada, ale w następnym tygodniu był już w Waszyngtonie, aby zapytać jak Jordania może wspomóc plan Donalda Trumpa podziału Syrii na tzw. strefy bezpieczne, czyli wygodne dla Zachodu kawałki.

To było jednak tylko klasyczne rozpoznanie. Rządząca w Jordanii dynastia Haszemitów, potomków proroka Mahometa cieszy się niemiłą reputacją notorycznych a przekupnych lawirantów, którzy zawsze lubili wygrywać jednych okupantów i wrogów przeciw drugim. Pra-pradziadek króla Abdullaha, szeryf Mekki, długo flirtował pomiędzy Stambułem a Londynem, zanim ostatecznie zdecydował się na brytyjskie złoto. Przed inwazją na Irak w 2003 roku król Abdullah też przyjmował u siebie posłów i od Saddama i od Busha, zanim zdecydował się, który z nich więcej mu zapłaci. Obecnie, w miarę jak wysychają saudyjskie petrodolary, król – za pośrednictwem rosyjskiej dyplomacji – nawiązał już cichy kontakt z Teheranem, arcycrywalem Rijadu, odczuwając coraz silniejsze operacje irańskich sił specjalnych wzdłuż jordańskich granic z Syrią i Irakiem. Swego czasu to właśnie sam Abdullah podniósł alarm w sprawie „szyckiego półsiężyca”, za pomocą którego Iran rozciągnął swoje wpływy na Irak, Syrię i Liban. Obecnie, widząc że nie może temu zapobiec, chyba stara się jakoś z Iranem ułożyć.

Taka postawa króla jest jednak zaprzeczeniem planów i zachęt, jakie płyną do niego z Ameryki. Być może licząc na to,

że jako półkrwi Amerykanin (jego matka była Amerykanką), król Abdullah wyraźniej weźmie stronę USraela, waszyngtoński Institute of Near East Policy wezwał go w zeszłym roku do tworzenia Większej Jordanii przez wchłonięcie „fragmentów Iraku i Syrii” w granice haszemickiego królestwa. Miałoby to powstrzymać szyicko-irańską ekspansję w kierunku zachodnim, czyli ku granicom Izraela. W nagrodę, Jordania miałaby uzyskać dwie wielkie rzeki, obiecujące pola naftowe i wielkie złoża fosfatów. Jednak Amman skrzywił się tylko: obiecanki-cacanki.

Król Abdullah jest bowiem także półkrwi Arabem i wie jak niebezpieczne jest na Wschodzie zagarnianie pod siebie zbyt wiele. Przez ostatnie stulecie Haszemici mienili się Królami Arabów, ale w tym czasie stracili dwie wielkie stolice – Damaszek i Bagdad – oraz trzy najświętsze miasta islamu: Mekkę, Medynę i Jerozolimę. Król Abdullah I, pradziadek obecnie panującego, zagnany na pustynię za Jordanem ciskał się wściekle „jak sokół w klatce kanarka”, ale przecież i on utracił połowę Palestyny, a jego syn – król Hussain – jej resztę. Jordański politolog Oraib Rantawi twierdzi, że dopiero obecny król jest pierwszym monarchą, „o jordańskich a nie regionalnych ambicjach”.

Weźmy Syrię. Król Abdullah był pierwszym arabskim przywódcą, który wysunął żądanie odejścia Assada. Z pomocą funduszy z Arabii i Kataru przepychał on przez granicę najemników, wywiad, broń i pieniądze do wybranych grup tzw. „rebeliantów” na południu Syrii. Ale walki, które tym działaniem wywołał zaowocowały napływem miliona uchodźców w granice jego królestwa. Priorytet musiał się więc przesunąć z ofensywy przeciwko Syrii na obronę własnych granic przed globalnym dżihadyzmem, zresztą często w wykonaniu jordańskich terrorystów. A hojnie zasilani „rebelianci” na południu Syrii z niewielkimi wyjątkami utrzymali się nie dłużej niż rok przeciw syryjskiej armii, po czym zostali rozproszeni i wytarci mając z reguły ludność przeciwko sobie.

Niektórzy Jordańczycy nadal mówią o potrzebie stworzenia

Frontu Południowego (Dżabhat al-dżanubi) w formie 10-kilometrowego pasa po syryjskiej stronie granicy. W ten sposób Amman wyszedłby naprzeciw koncepcji i wezwaniu Trumpa do tworzenia stref bezpieczeństwa. Byłaby to dla Jordanii ochrona przed dalszym napływem uchodźców, ale zwłaszcza przed Daeszem, którego terroryści-samobójcy już cztery razy szturmowali tę granicę od czasu kontrofensywy wszystkich sił przeciw niemu.

Ale wyższe dowództwo armii jordańskiej doradza raczej współpracę z armią Assada. Gdyby wycofać jordańskie wojsko z Nasib, głównego przejścia granicznego z Syrią, które obecnie i od dawna jest zamknięte, Damaszek zapewne zgodziłby się na ponowne otwarcie starożytnego Szlaku Kadzidlanego czyli głównej handlowej Drogi Lewantyńskiej z północy na południe. Wojska Assada znów kontrolują ją na całej długości od granicy tureckiej po jordańską i handel mógłby ruszyć znów z Turcji przez Syrię, TIR-ami i cysternami do jordańskiego portu Aqaba oraz przez pustynię do krajów nad Zatoką Perską. Wszyscy po cichu bardzo za tym wzdychają, a i w drugą stronę Jordania mogłaby wkrótce skorzystać na odbudowie Syrii z ruin, która przecież długo czekać nie może. Jedyne co w tym przeszkadza to postawa USraela i brak zgody Zachodu w sprawie rozwiązania kryzysu syryjskiego.

Również co do Iraku Jordania musi dobrze rozważyć pomiędzy interesami emigrantów i relacjami z Bagdadem. Bogaci Irakijczycy, którzy po amerykańskiej inwazji 2003 roku uciekli i osiedli w Ammanie, walczyli przyczynili się do rozwoju jordańskiej stolicy w jedno z najszybciej rosnących miast Wschodu. Mieszkając w podmiejskich pałacach, sunniccy szejkowie plemienni z Anbaru wzywają przez sieci satelitarne do utworzenia w tej największej irackiej prowincji autonomicznego regionu dla sunnitów, tzw. iqlim, na podobieństwo tego, który na północy Iraku utworzono dla Kurdów. Granicząc z Jordanią i wspólnie z nią, taki sunnicki iqlim mógłby zagrozić drodze dalszemu posuwaniu się Iranu na zachód. Ale taki handel Ammanu jedynie z pustynną prowincją

skonfliktowaną z Bagdadem wypada błado w porównaniu z perspektywami dogadania się z Irakiem jako całością. Ewentualne dwustronne porozumienie o budowie rurociągu z szyickiej Basry do jordańskiego portu Aqaba niesie w sobie nadzieję na przekształcenie Jordanii w ważny węzeł handlu ropą naftową i gazem. Bagdad nie byłby przeciwny.

Najbardziej jednak ostrożny jest król Abdullah jeśli chodzi o Palestynę. Pamięta, że to przecież palestyńscy nacjonaści zabili jego dziadka po tym, jak w 1948 roku oddał Żydom połowę Jerozolimy. Także jego ojciec, król Hussein ledwo uszedł z życiem w czasie palestyńskiej rewolty Czarnego Września 1970 roku. Król Abdullah woli trzymać się od nich z daleka. Mimo, że Palestyńczycy stanowią 55% ludności jego królestwa, odmawia przyjęcia większej roli w ich konflikcie z Izraelem i nie wtrąca się do wydarzeń na Zachodnim Brzegu. „Lepiej być żywym sokołem w klatce, niż zestrzelonym w locie”. Taka postawa i jej interpretacja najbardziej podoba się w Izraelu. Czyżby to wyjaśniało, dlaczego królowi tak wiele wolno w każdej innej sprawie?

Autorstwo: Bogusław Jeznach

Źródło: NEon24.pl